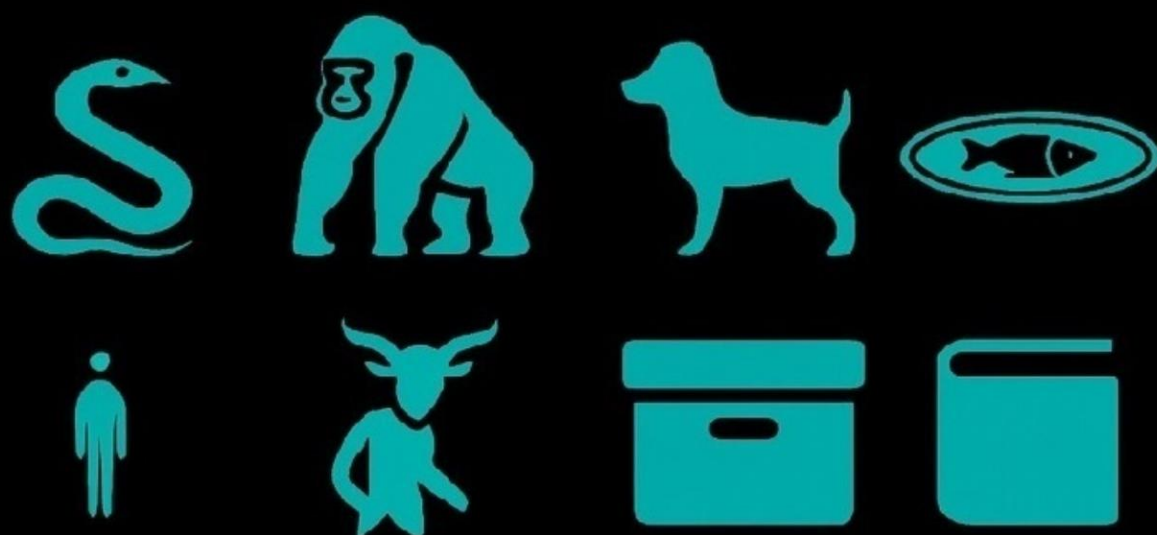


Opowiadania

o niewinności



∞ P O W I 8 D 8 N I 8

Adam Binduga

SPIIS TREŚCI

Ukaszanie	6
Srebrna nitka	18
Homar	33
Szuflada	53
Małagłówka	72
Książki	86
Faun w Górach Stołowych	102
Goryle	112

UKĄSZENIE

| *...czasom niewinności...*

Nie pamiętam jej imienia. Jest bez znaczenia jak wszystkie dzisiejsze imiona, które musimy wybierać z rejestrów. Imiona — pieczętki, imiona — cyfry, imiona bez znaczeń. I nie wiadomo czy to brak wyobraźni sprawił czy coraz większa liczebność grup, w których na co dzień przyszło nam żyć, że imiona już nic nie znaczą.

Dlatego jej imię jest nieważne, wprowadziłoby tylko zamieszanie i przez chwilę ktoś z was mógłby nawet pomyśleć, że ją zna.

— Będę nauczycielką, nauczycielką rosyjskiego. Lubię ten język. Jestem najlepsza w szkole. Kiedy byliśmy na wycieczce z TePePeR w Odessie, w zeszłym roku, podali nam ryż do kurczaka, a nie ziemniaki, chichichi..., a bileterka w muzeum antropologii i ateizmu, takim kościele bez ławek, pomyliła mnie z grupą komsomolców z Charkowa. W ostatniej chwili, bo nie miałam czerwonej chusty, się zorientowała... czy zorientowała się. Jak się w zasadzie powinno powiedzieć? Ale skąd ty masz to wiedzieć, brudasku? Chichichi... Po kim nosisz żałobę za paznokciami? Masz chusteczkę, wytrzyj chociaż nos. Nie oddawaj mi jej, chichichi... bo jest jednorazowa.

Mówiła dużo i ciekawie. Szybko i wyraźnie. Miała białutki puszek jak kocyk na przedramieniu i policzkach. Za-

— Słyszałem, słyszałem tę muzykę, Paweł mi zawsze puszcza na całe głośniki, że aż psy wyją.

Zaśmiała się.

— Naprawdę wyją i to z głośników, a nie z podwórka. Nie znasz *Pink Floydów*?

Ale ona machnęła ze zniecierpliwienia ręką.

— Głupotki. A teraz mała lekcja z czytania. Dobrze czytasz?

— No czytam.

— Jeszcze się nie przechwalasz jak inni. Dopiero piąta klasa. Przeczytaj co napiszę tutaj na ścianie.

I napisała powoli, krągłymi i równymi literkami.

— *Dom pu-bli-czny* — wysylabizowałem.

— Wiesz co to jest? — wpatrywała się swoimi zielonymi oczami, a blask świec zniekształcał jej rysy. Zacząłem się jej bać.

— Nie wiem. Może jakiś urząd?

Uderzyła mnie lekko w policzek.

— Blisko, blisko, nie jesteś taki głupi jak udajesz. Nie bój się. Powiedz. Najpierw tacy niewinni...

Nagle przez właz wpadła prosto pod jej nogi ciemna wijąca się wstążka.

— Żmija, żmija, ratunku! — krzyczała — Zrób coś!

Kłębiła się pod naszymi nogami i syczała ciemna, smukła kibić. Szukałem jakiegoś kija, ale niczego nie było pod ręką. Zastygłem w osłupieniu i strachu. Ona panicznie krzyczała i wierzgała nogami. Wreszcie kopnęła ją tak zamaszyście i celnie, że gadzina z głuchym łoskotem poleciała prosto na ścianę z iglastych gałęzi, po których instynktownie wspięła się w kierunku słońca i zniknęła tak szybko jak się pojawiła. Odetchnąłem, ale tylko na chwilę.

SREBRNA NITKA

| ...Arturowi...

Klasa była pełna. Wakacje się skończyły. Wymienialiśmy się prawdziwymi i zmyślonymi historiami, na które tylko w tym właśnie dniu była niepisana dyspensa. W rzeczywistości większość z nas spędziła wakacje w jednym miejscu. Nie przeszkadzało to jednak zupełnie w snuciu niezwykłych opowieści o tajemniczych wujkach i ciociach z najdalszych krańców świata.

Wszyscy od razu zauważyliśmy zmianę. Nowy uczeń w klasie. Jaki tam zresztą nowy? Kilkakrotnie repetował, znany z poprzednich lat, wyrośnięty o dwie głowy, dorosły, już prawie mężczyzna o zoranej trądzikiem cerze i nieskoordynowanych ruchach. Dziecko w męskim ciele. Jego nazwisko krążyło po szkole z niesławą od kilku lat. Było już znane pierwszacom. Wzbudzało strach i niechęć. Straszło się nim. W szkole panował zupełny ostracyzm wobec niego, nie dość, że nie wypadało z nim rozmawiać, to jeszcze gdziekolwiek się pojawiał wszyscy z piskiem uciekali od niego, zatykając sobie nosy. Celowały w tym dziewczęta. „I taki niedorozwinięty śmierdziel trafił do naszej klasy...” — myśleliśmy, a byliśmy klasą raczej ułożoną, z przedziałkiem na główce i bez żadnych, skatalogowanych na ówczesne czasy, patologii.

On siedział samotnie w ławce, nawet nie próbował nawiązać z nami kontaktu, patrzył w jeden punkt na ścianie

— Płetwonurkowie ze Szczecina jutro o jedenastej go wyciągają. Dowiedziałem się tak wiele i w tak krótkim czasie. Przez pamięć przelewał się natrętny strumień wspomnień o Arturze. Wspomnienie, gdy zobaczyłem go po raz pierwszy, jego ostry zapach, biały trądzik na całym ciele i ten głos, kiedy czytał wypracowanie o marzeniu swojego życia.

Nazajutrz wypożyczyłem z przyjacielem rower wodny. Na brzegu był już tłum ludzi, a na wodzie łódki, kajaki, rowery wodne, materace. Wszyscy zamarli w oczekiwaniu na widowisko śmierci. Wśród nich i ja. Płetwonurkowie w czarnych skafandrach, jak cienie, z lśnącymi w słońcu butlami tlenowymi, powoli majestatycznym, księżycowym krokiem wchodzili do wody, aż po chwili zniknęli w jej nieprzeniknionej dla oczu topieli. Wokół nieskalana cisza, mimo tłumy ludzi, cisza jaką wywołuje tylko zetknięcie ciepłego życia z lodowatą śmiercią. Tafla wody wciąż bulgotała jak wrzątek.

Wpłynęliśmy w trzciny, aby być jeszcze bliżej, gnani jakąś niezdrową ciekawością trupiego ciała. Niestety śruba zaplątała się w wodnej trawie i widzieliśmy wszystko przez trzciny. Na wodzie pokazała się czarna główka płetwonurka, jedna, druga i nagle błysnęło nagie ciało. Artur zastygł w pozgonnym odruchu, jak to najczęściej bywa u topielców, obrony przed wodą, której nie da się uchwycić. I kiedy go tak holowali do brzegu, jak dwa złe cienie przez Styks, z uszu i nosa zaczęła się sączyć Arturowi krew. Krótkie polecenia płetwonurków niosły się po tafli wody i wszyscy to słyszeliśmy jak gdybyśmy byli w kościele o gotyckiej akustyce. Ta krew i poza w jakiej zastygł, niczym starożytny dyskobol, na tle tłumy młodych, starych, pięknych i brzydkich, ale żywych ludzi,

HOMAR

| ...koneserom fałszywych owoców morza...

W ciepłe, majowe popołudnie dystyngowany jegomość przeszedł przez białą bramę komisum samochodowego *Homar kredyt-lombard-leasing* w dużym mieście wojewódzkim nieopodal dworca głównego. Pod elegancko wypielegnowanymi półbutami z safianu chrzęścił granitowy, siedmiokątny grys, jakby w greckim heksametrze.

Niebawem zauważyli go wszyscy pracownicy tej szacownej, niedawno powstałej firmy w dzielnicy obskurnych, komunalnych kamienic.

Z obcą, jak na fach którym parali, tkliwością przypatrywali mu się przez okna parterowego kontenera, służącego dożywotnim „tymczasem” za biuro. Cichy szelest kwitnących kasztanów wprawiał wszystko i wszystkich w błogą senność. Przed wejściem wygrzewała się w słońcu stara agawa.

Jegomość zatrzymał się na krótko przy starym *fordzie eskorcie* i jakby nie widząc przeżartych rdzą progów z uznaniem poklepał go po masce i pokiwał głową w sposób w jaki kiwają tylko eksperci.

Stał dłuższą chwilę przy samochodzie, który dostojenstwem i pojemnością silnika dorównywał jemu i przyglądał się ukradkiem swojemu odbiciu w lśniącej masce. W końcu wszedł tam, gdzie wszyscy na niego czekali, do biura, i zapytał z właściwą swadą klasie ludzi, do któ-

SZUFLADA

| *Tym, którzy podążają wbrew wszystkim...*

Czasy nie były zwyczajne, a działały się rzeczy, które w znacznej mierze potwierdzały najczarniejsze przewidywania. Długotrwała susza zrujnowała uprawy, a niewielkie plony trudno było sprzedać w jeszcze państwowym, niewydolnym systemie skupu. Mimo to, a może właśnie dlatego, skorumpowani urzędnicy ministerstwa dopuszczali bezcłowe, kilkudniowe importy zboża, a składy pociągów czekały na granicy jeszcze przed ukazaniem się rozporządzeń.

Jelcyn wysyłał armię na Czeczenię tuż po odparciu puczu generałów. Prezydent *USA* wyrażał poparcie dla młodej, rosyjskiej demokracji, a Urban pił szampana po wygranych, demokratycznych, wolnych wyborach i sprzedawał tygodnik wolnej prasy w Polsce. Prezes *NIK* zginął w wypadku, gdy jechał do Sejmu przedstawić zagadkę *FOZZ*, trochę później *Naczelnik Urzędu Ciel* zabił się z długiej broni myśliwskiej, strzelając sobie dwa czy cztery razy w brzuch, naciskając cyngiel palcem od stopy. *ONZ* ponownie wzywało do pokoju w Afryce, nie mogąc dostarczyć kilograma mąki dla poszkodowanych ludzi, a sekretarz *NATO* został skorumpowany przy zakupie śmigłowców.

Wszędzie panował stan chaosu i konfliktu. Szukano nowej formuły w ekonomii i wartości w polityce, aby wy-

— Wreszcie płacą? — naiwnie wybąkałem.

— No coś ty? Prezes był *TW*. Kapujesz? *TW*! Niby wielki *solidarnościowiec*, a to był zwykły kapuś jeden, za parę srebrników. Mam ksero jego teczki, ktoś dzisiaj rano porzucił w redakcji.

— Niemożliwe! On?

— Aleś ty naiwny. Właśnie dlatego został prezesem radia. Nie kumas? A wiesz jaki miał kryptonim?

— Szuflada... — odparłem bezmyślnie zmiażdżony tak gwałtownym naporem zmian, których nie potrafiłem uporządkować.

— Co ty z tą „szufladą”, ale blisko... Chyba miałeś jakieś przecieki? Co?

— Nie miałem, a skąd miałem mieć?

— Coś chyba wiesz, ale to twoja sprawa. Udawałeś, że go nie lubisz... *TW* „*Szafa*”, oto nasz prezio-styropiano-wiec i cała o nim prawda.

— Dawniej gnojku papier toaletowy za nim do kibla nosiłeś, a teraz? Jaka jest prawda o tobie synku czerwonego sekretarzyka?

— Lepiej się umyj, bo śmierdzisz — zaczął się śmiać, zbiegając ze schodów — i poszukaj sobie innej pracy, bo tu już ciebie nie ma. Ja ci to mówię. Nie ma. Konfidence pieprzony!

Magnetofon był na miejscu. Przyniósł go dzisiaj ktoś rano, dzięki naklejce z adresem...

Nie mogłem już dłużej żyć w tym mieście. Musiałem uciec stąd jak najdalej. Czułem obrzydzenie do siebie i do wszystkich, których tutaj poznałem. W nowym miejscu wszystko ułożę od początku. Wszystko uporządkuję i poukładam. Będę żył inaczej. Wyjadę stąd daleko do nowego miasta. Wiem już jakiego!

MAŁAGŁÓWKA

| *Małejglówce...*

Jedliśmy żółte, jeszcze niedojrzałe czereśnie, siedząc na wysokim, kamiennym murze starego sadu księdza proboszcza. Lipcowe słońce grzało rozkosznie. Machaliśmy nogami i pluliśmy pestkami jak najdalej, a kury ze smakiem je połykały. W dole rozpościerał się szeroki widok na srebrną Odrę. Niezapomnianie pachniał świeży, koński obornik, a z oddalającego się wozu cichł miarowy stukot kopyt. Któż mógł wiedzieć, że za parę lat koń, nawet tutaj, będzie, niczym *archeopteryks* w zmieniającym się z Bożej łaski świecie?

Reagan właśnie dusił lewiatana, w którego wnętrznościach umieraliśmy i rodziliśmy się na powrót, trawieni już prawie od trzech pokoleń, a magowie robili wszystko, żebyśmy po wypatroszeniu bestii nawet tego nie pamiętali. W dzień, gdy zagłuszarki nieco odpoczywały, wpatrywaliśmy się rytualnie w ten dziwny, wówczas niezrozumiały dla nas świat na kanale zachodnioniemieckiej telewizji, chyba *ARD*. Na zaśnierzonym i zawsze bezgłośnym ekranie celebrowaliśmy słowo *WERBUNG*, zwiastun niezwykłości, epifanię dobrobytu i wolności (wówczas myśleliśmy że to jedno i to samo): pieniące się mydło, kolorowe tuby past do zębów, czekoladowe cuda, piękne buty i dżinsy, bez przyczyny uśmiechniętych ludzi i co tam jeszcze... Tylko dziadek, żołnierz *Września* i *Akowiec*, gorzko mruczał:

KSIĄŻKI

| ...tym wszystkim, którzy to kiedyś przeczytają...

Wszystko zaczęło się od tego, gdy spostrzegłem, że w domowym księgozborze jakimś dziwnym zrządzeniem losu zabrakło książki „*Via bank i FOZZ. O rabunku finansów Polski*” Przystawy i Dakowskiego. Książki starej, jak na książkę, przeszło trzydziestoletniej, do której nie zaglądałem z piętnaście lat, dlatego chciałem do niej powrócić, bo wszystko powtarza się w cyklach. Nawet nie próbują wymyślać nowych scenariuszy, odgrzewają stare, sprawdzone w kolejnym pokoleniu, zawsze z tym samym pietyzmem.

Gdzie jest książka? Szybki przegląd gości w myślach. Komu ją pożyczyłem? Może ktoś ukradł? Znajomi dzieci? Ale po co im? Przecież nikt dzisiaj nie czyta książek. To było jedyne wydanie.

Może jest za szafą, pod szufladą, w nierozpakowanym kartonie z przeprowadzki? Utracona.

Dręczące rozważania Niczuldida przerwała małżonka Mastakuta:

— W szkole ogłoszono jakąś epidemię u dzieci. Słyszałeś o tym?

— Coś niecoś, ale to jest daleko od nas.

— Zawsze to samo. Co ciebie obchodzi co się dzieje w szkole? Wszystko na mojej głowie. Praca, wywiadówki, odrabianie lekcji, obiady i chore dzieciaki. Jesteś w stanie

FAUN W GÓRACH STOŁOWYCH

| *Pamięci zamordowanej pary w Górach Stołowych...*

Już na dworcu w Kudowie, kiedy pocałował cię w twarz przez pomyłkę ten obcy, błędzący po przedziałach kostropaty mężczyzna, bo twarz miałeś zawsze delikatną i długie, dziewczęce włosy, poczułeś, że wydarzenia biorą zły obrót, który trzeba natychmiast zmienić.

Z początku się z tego tylko śmiałaś i śmiałaś, później przypomniałaś sobie „*Pocałunek kobiety pająka*”, wasz ulubiony film, podczas którego dotknął po raz pierwszy twojej ręki, tylko ręki. Wreszcie. Był zawsze nieśmiały i dobry, inny niż ci, których wcześniej znałaś. I pomyślałaś, że coś w tym musi być, że całuje go mężczyzna, ale musieliście szybko wysiadać z pociągu i ta myśl w pośpiechu się rozproszyła.

Wycierałeś długo twarz chusteczką, pluleś na nią nerwowo, wycierałeś coraz czerwieńszą skórę, w końcu zwilżyłeś twarz wodą toaletową i soczyście zakłąłeś.

Wyszliście z wagonu z ciężkimi plecakami, a ty chwyciłaś go za rękę mocno, mocno, aby pokazać, że nic się nie zmieniło i zawsze będziesz z nim szła wszędzie.

Poczułeś to, dlatego uparłeś się, że zmienisz zaplanowaną trasę. Chciałeś odwrócić bieg wydarzeń, który przybrał tak groteskowy początek. Nigdy się nie upierałeś. Uparłeś się właśnie teraz, przełykając nerwowo ślinę,

GORYLE

| *...jednej Historii i wielu historykom...*

Na lekcji biologii drzwi otworzyły się gwałtownie, bez jednego nawet puknięcia, wbrew utartym zwyczajom surowo przestrzeganym w tej szkole. Mógł to zatem być tylko dyrektor Chamski w związku ze zbliżającym się apelem ku czci rewolucji październikowej lub dentystka Korzeniowska. Gabinet biologii znajdował się na najwyższym piętrze naszej szkoły zbudowanej prawie sto lat temu z czerwonej cegły. Jesienne słońce jakby na moment ożywiało na półkach śpiące stworzenia w cylindrach z formaliną.

— Niech pani zobaczy co znalazłem na górze!

Rzucił podekscytowany Jacek, dwa lata od nas starszy, nie krępując się w ogóle swoim nagłym najściem w środku lekcji. Z ciekawości wszyscy oderwaliśmy wzrok od podręczników z czarno-białymi przekrojami narządów wewnętrznych, szukając ujścia z zakłopotania.

Tak więc Jacek wparował jak taran do naszej klasy, a jego długa grzywka jak burzowa chmura przysłaniała mu okulary w czerwonej ramce. W ręku trzymał ludzką czaszkę, niczym główkę kapusty zerwaną w ogrodzie:

— No, niech pani sama zobaczy — powiedział i podał zniecierpliwiony naszej urodziwej nauczycielce biologii. Ta przestąpiła z nóżki na nóżkę jak brodząca w wodzie czapla. Ludzka czaszka w środku dnia?